

Jej wszystkie życia

prawolubni[♥]

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki



KATE
ATKINSON
Jej wszystkie życia

Przełożyła Aleksandra Wolnicka

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2014

Tytuł oryginału
LIFE AFTER LIFE

Redakcja
Maria Lipowska-Wiktorowska

Projekt okładki
Claire Ward

Adaptacja okładki
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce
Johnny Ring, Libby Hall, Getty, Arcangel Images, Shutterstock

Skład
Dariusz Piskulak

Korekta
Małgorzata Denys
Maciej Korbasiński

Copyright © Kate Costello Ltd, 2013

Kate Atkinson has asserted her right under the Copyright, Designs and Patents Act 1988 to be identified as the author of this work.

This book is a work of fiction and, except in the case of historical fact, any resemblance to actual persons, living or dead, is purely coincidental.

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2014

Wydanie I

Druk i oprawa
Drukarnia ABEDIK

Wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 70 g/m², vol. 2,0
dystrybuowanym przez antalissm | map

ISBN 978-83-7554-763-4

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36
Księgarnia: tel. (22) 616 12 72

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:
www.czarnaowca.pl

Dla Elissy



A gdyby tak pewnego dnia lub nocy jakiś demon wpłynął za tobą w twą najsamotniejszą samotność i rzekł ci: „Życie to, tak jak je teraz przeżywasz i przeżywałeś, będziesz musiał przeżywać raz jeszcze i niezliczone jeszcze razy”. (...) Czy nie padłbyś na ziemię i nie zgrzytał zębami i nie przeklął demona, który by tak mówił? Lub czy przeżyłeś kiedy ogromną chwilę, w której byś był mu rzekł: „Bogiem jesteś i nigdy nie słyszałem nic bardziej boskiego!”.

Fryderyk Nietzsche, *Wiedza radosna*
(w przekładzie Leopolda Staffa)

πάντα χωρεῖ καὶ οὐδὲν μένει

Wszystkie rzeczy się poruszają i nic nie stoi w miejscu.

Platon, *Kratylos*
(w przekładzie Witolda Stefańskiego)

A gdybyśmy tak mogli przeżywać nasze życie raz za razem, żeby wreszcie zrobić to jak należy? Czy to nie byłoby wspaniałe?

Edward Beresford Todd



Bądźcie waleczni

Listopad 1930

Owionął ją zaduch papierosów, powietrze było lepkie i wilgotne. Weszła do kawiarni prosto z ulewy; na futrach niektórych siedzących w środku kobiet wciąż drżały krople deszczu niczym delikatna rosa. Zastępy kelnerów w białych fartuchach sprawnie uwijały się po sali, zaspokajając zachcianki monachijczyków spragnionych kawy, ciasta i ploteczek.

Siedział przy stoliku w głębi lokalu, jak zwykle otoczony wianuszkami zauszników i pochlebców. Wśród nich dostrzegła kobietę, której nigdy przedtem z nim nie widziała: platynową blondynkę z trwałą ondulacją i w mocnym makijażu – na pierwszy rzut oka aktorka. Blondynka w wyzywający sposób zapaliła papierosa; falliczna symbolika tego gestu nie budziła wątpliwości. A przecież wszyscy wiedzieli, że on woli kobiety nieśmiałe i skromne, najchętniej pochodzące z Bawarii. Te całe ich dirndle i podkolanówki, Boże, ratuj!

Stół ugiął się od tamtejszych smakołyków, drożdżowych i serowych *Bienenstich*, *Gugelhupf*, *Käsekuchen*. On jadł kawałek tortu szwarcwaldzkiego. Przepadał za nim. Nic dziwnego, że miał taką ziemistą cerę, cud, że nie miał jeszcze cukrzycy. Odrażające, miękkie ciało (kojarzące się jej z surowym ciastem), zawsze ukryte pod ubraniem, nigdy nieekspozowane. Wyjątkowo niemiecki mężczyzna. Dostrzegłszy ją, uśmiechnął się i uniósł lekko z miejsca na powitanie: – *Guten Tag, gnädiges Fräulein*. – Jednocześnie wskazał jej krzesło

obok siebie. Zajmujący je sługus natychmiast się poderwał i odszedł.

– *Unsere Englische Freundin* – przedstawił angielską przyjaciółkę blondynce, która wolno wypuściła z ust kłęb dymu i przyjrzała jej się bez szczególnego zainteresowania, by na koniec odpowiedzieć z berlińskim akcentem: – *Guten Tag*.

Odłożyła ciężką torebkę na podłogę obok krzesła i zamówiła gorącą czekoladę. Nalegał, aby spróbowała *Pflaumen Streusel*, placka śliwkowego z kruszonką.

– *Es regnet* – zauważyła tonem luźnej konwersacji. – Pada deszcz.

– Tak, pada – powtórzył z twardym akcentem. Roześmiał się, bardzo z siebie zadowolony. Inni przy stole także się roześmiali. – Brawo – pochwalił ktoś jego angielski. – *Sehr gutes Englisch*. – Był w dobrym humorze; z rozbawionym uśmiechem dotykał warg wierzchem palca wskazującego, jakby wystukiwał rytm jakiejś sobie tylko znanej melodii.

Placek okazał się wyśmienity.

– *Entschuldigung* – wymamrotała przepaszająco, sięgając do stojącej na podłodze torebki po chustkę do nosa. Rogi obszyte koronką, monogram z jej inicjałów: „UBT” – urodzinowy prezent od Pammy. Dyskretnie otarła z ust okruszki placka i schyliła się, żeby schować chustkę z powrotem do torebki, a przy okazji wydobyć ukryty w niej ciężki przedmiot. Stary wojskowy rewolwer ojca z czasów Wielkiej Wojny, model Webley Mark V.

Ruch przeciwiony setki razy. Jeden strzał. Wszystko odbyło się błyskawicznie, poza jedną chwilą, która niczym pęcherzyk powietrza zawisała w czasie, gdy wycelowała broń w jego serce, i wszystko jakby się zatrzymało.

– *Führer* – powiedziała i czar prysł. – *Für Sie*.

Siedzący wokół stołu wyszarpnęli z kabur pistolety i wycelowali je prosto w nią. Jeden oddech. Jeden strzał.

Ursula pociągnęła za spust.

Zapadła ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

Mroźny powiew, lodowaty dotyk powietrza na świeżo obnażonej skórze. Nagle i bez uprzedzenia zostaje wyciągnięta na zewnątrz, a znajomy, wilgotny, tropikalny świat niespodziewanie znika bez śladu. Jest wystawiona na działanie żywiołów, jak obrana krewetka, wyluskany orzech.

Nie oddycha. Cały świat sprowadzony do tego jednego. Do jednego oddechu.

Niedojrzałe płuca niczym skrzydła ważki niezdolne rozpostrzeć się w nieznannej atmosferze. Brak powietrza w zdławionej tchawicy. Brzęczenie tysiąca pszczół w maleńkim, pofałdowanym, perłowym uszku.

Panika. Tonąca dziewczynka, spadający ptak.

*

– Doktor Fellowes powinien już tu być – jęknęła Sylvia. – Dlaczego jeszcze nie przyjechał? Gdzie on się podziewa? – Krople potu na skórze, wielkie niczym perły. Czowała się jak koń u kresu morderczego wyścigu. Ogień w kominku w sypialni buzował jak w kotłowni na statku, a grube zasłony z brokatowej tkaniny były ciasno zaciągnięte dla obrony przed wrogiem – nocą, czarnym nietoperzem.

– Paniny mąż musiał utknąć w jakiejś zaspie. Okrutna dziś zamieć na dworze. Droga na pewno cała zasypana.

Sylvie i Bridget, samotne w swej męce. Służąca Alice pojechała odwiedzić chorą matkę, a Hugh oczywiście akurat teraz uganiał się za Isobel, swoją postrzeloną siostrą, gdzieś *à Paris*. Sylvie nie miała ochoty angażować do pomocy pani Glover, chrapiącej właśnie jak wieprz w swoim pokoju na poddaszu. Przypuszczała, że ta wzięłaby się za nią z werwą sierżanta przeprowadzającego musztrę. To dziecko trochę się pospieszyło. Sylvie spodziewała się, że tak jak inne przyjdzie na świat po terminie. Myślał indyk, i tak dalej.

– Ojej, proszę pani! – wykrzyknęła naraz Bridget – ona jest całkiem sina!

– Dziewczynka?

– Pępowina owinęła jej się wokół szyi. O Matko Przenajświętsza! Udusiła się, bidulka.

– Nie oddycha? Daj mi ją. Trzeba coś zrobić. Jak ją ratować?

– Och, pani Todd, już po niej. Umarła, zanim zdążyła sobie pożyć. Tak mi przykro, proszę pani, tak okropnie przykro. Ta maleńka już jest aniołkiem w niebie. Żeby tak pan Todd był tutaj! Jaka szkoda. Czy mam obudzić panią Glover?

Maleńkie serce. Bezradne, maleńkie serce bije jak szalone. Nagle nieruchomieje niczym spadający z nieba ptak. Jeden strzał.

Zapada ciemność.

Śnieg

11 lutego 1910

– Na litość boską, dziewczyno, przestań latać jak kot z pęcherzem i przynieś tu zaraz wrzątek i ręczniki. Gdzieś ty się chowała? W lesie?

– Przepraszam, sir. – Bridget przepraszająco dygnęła, co najmniej jakby doktor Fellowes był samym następcą tronu.

– Dziewczynka, panie doktorze? Mogę ją zobaczyć?

– Tak, pani Todd, śliczniutka, zdrowiutka dziewczyneczka. – Sylvie pomyślała, że doktor Fellowes chyba trochę przesadził z tymi zdrobnieniami. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach trudno byłoby go nazwać serdecznym. Miało się wrażenie, iż nic go tak nie irytuje jak zdrowie jego pacjentów, a już zwłaszcza ich narodziny oraz zgony.

– Udusiłaby się przez tę owiniętą wokół szyi pępowinę. Zjawiłem się w Fox Corner dosłownie w ostatniej chwili. – Doktor Fellowes uniósł w górę nożyczki chirurgiczne i z dumą zaprezentował je Sylvie. Były małe, zgrabne, z wygiętymi w górę ostrymi końcami. – Ciach, ciach – dodał. Z roztargnieniem – całkiem zrozumiałym, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności i towarzyszące im fizyczne wyczerpanie – Sylvie odnotowała w pamięci, że musi koniecznie sprawić sobie takie nożyczki, na wypadek gdyby podobna sytuacja powtórzyła się kiedyś w przyszłości (jakkolwiek było to mało prawdopodobne). Ewentualnie nóż – dobry, ostry

nóż, który nosiłaby stale przy sobie jak ta mała rozbójniczka z *Królowej Śniegu*.

– Miała pani szczęście, że zdążyłem w samą porę – ciągnął doktor Fellowes. – Zanim śnieg całkiem zasypał drogi. Wezwałem położną, panią Haddock, ale podejrzewam, że utknęła gdzieś w okolicach Chalfont St Peter.

– Panią *Haddock* łupacz, jak gatunek ryby? – powtórzyła Sylvie, marszcząc brwi. Bridget wybuchnęła głośnym śmiechem, ale zaraz wymamrotała: – Proszę o wybaczenie, sir. – Sylvie pomyślała, że obie muszą być na granicy hysterii. I nic dziwnego.

– Irlandzka hołota – mruknął doktor Fellowes.

– Bridget to tylko pomywaczka, sama jest jeszcze dzieckiem. Jestem jej bardzo wdzięczna. To wszystko stało się tak szybko. – Sylvia myślała o tym, jak bardzo chciałaby zostać teraz sama; nigdy jej się to nie udawało. – Chyba musi pan zostać u nas do rana, doktorze – dodała niechętnie.

– Tak, chyba rzeczywiście nie mam innego wyjścia – przyznał równie niechętnie doktor Fellowes.

Sylvie westchnęła i zaproponowała, żeby nalał sobie w kuchni kieliszek brandy. I może poczęstował się szynką z piklami. – Bridget się panem zajmie. – Chciała się go jak najszybciej pozbyć. Odbierał każde z jej trojga (trojga!) dzieci, a mimo to ani trochę go nie lubiła. To widok tylko dla męża, nie dla niego. Tymczasem to on ją obmacywał i grzebał tymi swoimi instrumentami w jej najdelikatniejszych i najbardziej intymnych miejscach (choć z drugiej strony, czy wolałaby, aby jej dziecko odbierała położna o nazwisku Haddock?). Lekarze od spraw kobiecych sami powinni być kobietami – niewielka szansa.

Doktor Fellowes zwlekał z odejściem, wydając półgłosem urywane polecenia i nadzorując mycie oraz opatulanie noworodka przez zaczerwienioną Bridget. Jako najstarsza

z siedmiorga rodzeństwa Bridget umiała przewijać niemowlęta. Miała czternaście lat – o dziesięć mniej niż Sylvie, która w tymże wieku sama była jeszcze dzieckiem, zakochanym w kucyku zwanym Tiffinem. Nie miała pojęcia, skąd się biorą dzieci, więcej, jej własna noc poślubna okazała się dla niej sporym zaskoczeniem. Matka coś tam jej wcześniej napomykała, ale na zgłębianie szczegółów anatomicznych już nie starczyło jej śmiałości. W jej mniemaniu stosunki małżeńskie sprowadzały się do wspólnego podziwiania skowronków o świcie. Lottie była powściągliwą kobietą. Niektórzy powiedzieliby, że wręcz żyła w pewnym odrętwieniu. Jej mąż, a ojciec Sylvie, Llewellyn Beresford, był znanym w kręgach socjety malarzem, jednak w żadnym razie nie można by go uznać za członka artystycznej cyganerii. W ich domu nie tolerowano żadnej nagości ani dwuznacznych zachowań. Ojciec sportretował samą królową Aleksandrę, gdy ta była jeszcze księżniczką, i zawsze powtarzał, że to przemiła osoba.

Pan Beresford zajmował wraz z rodziną przyjemny dom w Mayfair, Tiffina zaś ulokowano w stajniach w pobliżu Hyde Parku. Później w trudnych chwilach Sylvie zdarzało się szukać pocieszenia w owej szczęśliwej przeszłości; wyobrażała sobie, że w rześki wiosenny poranek siedzi zgrabnie w damskim siodle, umieszczonym na szerokim grzbiecie kuczka kłusującego przez Rotten Row, podczas gdy drzewa mienią się barwnym kwieciami.

– Może miałaby pani ochotę na filiżankę mocnej, gorącej herbaty i świeżutką grzanekę z masłem, pani Todd? – zagadnęła ją Bridget.

– Z przyjemnością.

Noworodek opatulony niczym egipska mumia został nareszcie przekazany Sylvie. Delikatnie pogłaskała brzoskwinowy policzek. – Witaj, maleńka – rzekła, na co doktor Fellowes odwrócił się, żeby nie być świadkiem tak ckliwej

sceny. Gdyby to od niego zależało, wszystkie dzieci od małego chowałyby się w spartańskich warunkach.

– No cóż, chyba rzeczywiście miło byłoby przekąsić coś na zimno – stwierdził. – Zostało może trochę tej wybornej warzywnej marynaty pani Glover?

Życie jak pory roku

11 lutego 1910

Oślepiający promień słońca niczym lśniący srebrzysty miecz przeszył zasłony i obudził Sylvie. Przeciągała się jeszcze leniwie w pościeli z koronek i kaszmiru, gdy do sypialni weszła pani Glover, dumnie taszcząc przed sobą wielką tacę ze śniadaniem. Trzeba było naprawdę wyjątkowej okazji, żeby aż tak oddaliła się od swego królestwa. Na tacy stał wazonik, a z niego zwieszał się smętnie pojedynczy, na wpół zamarznięty kwiatek. – Ojej, przebiśnieg! – zawołała Sylvie. – Pierwszy kwiat, który ośmiela się wychylić nad ziemię swoją biedną główkę. Prawdziwy z niego bohater!

Pani Glover, według której kwiaty nie były zdolne do bohaterstwa ani – skoro już o tym mowa – w ogóle nie przejawiały żadnych cech charakteru, chwalebnych czy nie, była wdową, od kilku zaledwie tygodni zatrudnioną w Fox Corner. Przed jej nastaniem zatrudniano w kuchni kobietę o imieniu Mary, która ruszała się jak mucha w smole i stale przypalała pieczeń. Dla odmiany pani Glover zdarzało się serwować raczej niedogotowane posiłki. W zamożnym gospodarstwie rodziców Sylvie na gosposię wołano po prostu „gospośia”, pani Glover wołała jednak, aby się do niej zwracać: „pani Glover”. Dzięki temu mogła się czuć niezastąpiona. Mimo to Sylvie z uporem nazywała ją w myślach gospośią.

– Dziękuję, gosposiu. – Pani Glover powoli zamrugła powiekami jak jakaś jaszczurka. – To znaczy pani Glover – poprawiła się Sylvie.

Pani Glover postawiła tacę na łóżku i rozsunęła zasłony. Cóż za nadzwyczajna światłość, ani śladu czarnego nietoperza.

– Jak jasno – zauważyła Sylvie, osłaniając oczy dłonią.

– To przez ten śnieg – odparła pani Glover, kręcąc głową w sposób, który mógł wyrażać zarówno zachwyt, jak i niechęć. Zwykle niełatwo było wyczuć, co ma na myśli.

– A gdzie doktor Fellowes? – spytała Sylvie.

– Wezwali go do nagłego wypadku. Byk poturbował jakiegoś farmera.

– Co za okropność.

– Ludzie ze wsi przyszli i próbowali odkopać jego automobil, ale koniec końców musiał go podwieźć mój George.

– Ach – westchnęła Sylvie, jakby nagle zrozumiała coś, czego nie potrafiła wcześniej rozgryźć.

– I to mają być konie mechaniczne – parsknęła z pogardą pani Glover, zupełnie jak byk. – Tak to się kończy, kiedy człowiek próbuje polegać na tych nowomodnych maszynach.

– Mhm – mruknęła Sylvie, nie mając ochoty na kwestionowanie tak zdecydowanych poglądów. Była zaskoczona, że doktor Fellowes wyjechał, nie zbadawszy jej ani dziecka.

– Zaglądał tu, ale pani spała – wyjaśniła pani Glover.

Czasami Sylvie zastanawiała się, czy ich gosposia nie potrafi przypadkiem czytać w myślach. Co za przerażający pomysł.

– Oczywiście najpierw zjadł śniadanie – dodała pani Glover, zawierając w tym jednym zdaniu zarówno pochwałę, jak i przyganę. – Ten to ma apetyt, jak mi Bóg miły.

– Sama zjadłabym konia z kopytami – zaśmiała się Sylvie. Chociaż, rzecz jasna, nigdy by tego nie zrobiła. Pomyślała przelotnie o Tiffinie i ujęła srebrne sztucce, ciężkie jak

broń sieczna, gotowa zabrać się do pikantnych cynaderek pani Glover. – Pyszności – powiedziała (to się dopiero okaże!), ale pani Glover już pochylała się nad leżącym w kołysce niemowlęciem („Tłuściutka jak prosie”). Sylvie zastanowiła się z roztargnieniem, czy pani Haddock nadal tkwi uwięziona przez śnieżycę gdzieś w okolicach Chalont St Peter.

– Podobno o mały włos nie umarła? – zagadnęła pani Glover.

– No cóż... – odparła Sylvie. Życie i śmierć oddzielała taka cienka linia. Pewnego wieczoru, po paru kieliszkach wybornego koniaku, jej rodzony ojciec, portrecista londyńskiej socjety, pośliznął się na isfahańskim dywaniku, pokrywającym podest schodów na pierwszym piętrze. Nikt nie usłyszał upadku ani krzyku. A przecież dopiero co zaczął malować portret hrabiego Balfour. Oczywiście nigdy go nie dokończył.

Później okazało się, że był bardziej rozrzutny, niż żona i córka mogłyby przypuszczać. Potajemny hazardzista, w całym mieście miał pozaciągane długi. Nie zadbał niestety o to, aby zabezpieczyć rodzinę na wypadek swojej nagłej śmierci, i wkrótce wierzyciele zaczęli oblegać ich przyjemny dom w Mayfair. Domek z kart, jak się okazało. Tiffin musiał zostać sprzedany, a jego odejście złamało serce Sylvie; jej rozpacz z tego powodu była o wiele większa niż po śmierci ojca.

– Myślałam, że jego jedyną słabością były kobiety – westchnęła matka, przysiadając na moment na walizce niczym modelka pozująca do piety.

Rozpoczął się dla nich okres szlachetnego ubóstwa, przy zachowaniu wszelkich form obowiązujących podupadłą klasę średnią. Matka Sylvie stawała się coraz bledsza i coraz mniej interesująca; skowronki całkiem wywietrzały jej z głowy, a ona zapadała się w sobie, zżerana przez galopujące suchoty. Od losu modelki jakiegoś podrzędnego malarzyny

ocalił siedemnastoletnią Sylvie mężczyzna przypadkowo spotkany przy pocztowym okienku. Miał na imię Hugh i jak się okazało, był wschodzącą gwiazdą opływającego w dostatki świata bankowości, uosobieniem wszelkich burżuazyjnych cnót. Czy urodziwa dziewczyna bez grosza przy duszy mogłaby wymarzyć sobie lepszą partię?

Lottie odeszła z tego świata spokojniej, niż można się było spodziewać, a Hugh i Sylvie pobrali się po cichu w dniu osiemnastych urodzin dziewczyny. („W ten sposób – stwierdził Hugh – już zawsze będziesz pamiętała o rocznicy naszego ślubu”). W podróż poślubną udali się do Francji, gdzie spędzili rozkoszne dwa tygodnie w Deauville, by następnie osiaść pod Beaconsfield, w swoim małym, prowincjonalnym rajku, w domu zbudowanym z grubszą w stylu Lutynesa. Było w nim wszystko, czego dusza mogła zapragnąć: ogromna kuchnia, bawialnia z przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na trawnik, ładny pokój śniadaniowy oraz kilka sypialni, gotowych na przyjęcie gromadki dzieci. Na tyłach domu znajdował się nawet mały pokój, w którym Hugh urządził swój gabinet. Moja pustelnia, zażartował.

W sąsiedztwie stały podobne domy, rozmieszczone w rozsądnej odległości. Były też łąka i zagajnik, a za nim las z płynącym przez środek strumykiem. Na wiosnę rosły tu całe połacie dzwonków. Dzięki położonej w pobliżu stacji kolejowej Hugh mógł znaleźć się za swoim biurkiem w banku w czasie krótszym niż godzina.

– Nasza własna Senna Kotlina – śmiał się Hugh, szarmancko przenosząc Sylvie przez próg domu. Ich nowe lokum było stosunkowo skromne (bez porównania z Mayfair), a i tak zapłacili za nie więcej, niż mogli sobie pozwolić – finansowa lekkomyślność, która zdumiała ich oboje.

– Powinniśmy jakoś nazwać ten dom – oświadczył Hugh. – Pod Wawrzynami, Pod Sosnami, Pod Wiązami...

– Przecież żadne z tych drzew nie rośnie w naszym ogrodzie – zauważyła trzeźwo Sylvie. Stali w przeszklonych drzwiach nowo zakupionego domu, spoglądając na przerośnięty trawnik. – Trzeba będzie nająć ogrodnika – powiedział Hugh. Dom odpowiedział mu głuchym echem. Nie zdążyli go jeszcze wypełnić dywanami w stylu Voyseya, tkaninami od Morrisa ani innymi estetycznymi drobiazgami typowymi dla dwudziestowiecznej rezydencji. Sylvie z radością zamieszkałaby w luksusowym londyńskim domu towarowym Liberty's zamiast w tym wciąż jeszcze nienazwanym małżeńskim gniazdku.

– Zielone Łany, Piękny Widok, Słoneczna Łąka? – podsuwał kolejne propozycje Hugh, czule obejmując swoją młodą żonę.

– Nie!

Poprzedni właściciel ich bezimiennego domu sprzedał go i wyjechał do Włoch. – Wyobraź to sobie – powiedziała Sylvie z rozmarzeniem. We wczesnej młodości odwiedziła Włochy; wspólnie z ojcem wybrali się tam w podróż, podczas gdy jej matka leczyła płuca w Eastbourne.

– Pełno tam Włochów – rzucił lekceważąco Hugh.

– Racja. Ale to akurat zaleta – odparła Sylvie, wysuwając się z jego objęć.

– Zielone Wzgórze? Domostwo?

– Przestańże wreszcie – ucięła Sylvie.

Z zarośli wychynął lis i przebiegł przez trawnik. – Och, popatrz tylko! – zawołała Sylvie. – Wcale się nie boi, musiał się przyzwyczaić, że dom stoi pusty.

– Miejmy nadzieję, że w ślad za nim nie zjawi się tu kawalkada myśliwych z całej okolicy – mruknął Hugh. – Toż to sama skóra i kości.

– To lisica! Matka karmiąca młode. Zobacz, widać jej sutki.

Hugh zamrugał powiekami, słysząc tak odważne słownictwo z ust swojej dziewiczej oblubienicy (tak przynajmniej zakładał; taką miał nadzieję).

– Popatrz! – szepnęła Sylvie. Na trawę wyskoczyły teraz dwa młode liski i zaczęły baraszkować, przewracając się nawzajem. – Och, jakie to śliczne stworzonka!

– Niektórzy powiedzieliby: szkodniki.

– A może to *my* jesteśmy dla nich szkodnikami – odparła Sylvie. – Fox Corner, Lisi Zakątek – tak powinniśmy nazwać ten dom. Nikt jeszcze nie wybrał tej nazwy, a chyba właśnie o to chodzi?

– Mówisz poważnie? – Hugh miał pewne wątpliwości. – Trochę to dziwaczne, nie sądzisz? Brzmi jak z bajki dla dzieci: *Dom w Lisim Zakątku*.

– Odrobina ekstrawagancji jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Jeśli chodzi o ścisłość – nie dawał za wygraną Hugh – to dom chyba nie może *być* zakątkiem, a tylko się *w nim* znajduje?

A więc to na tym polega małżeństwo, pomyślała Sylvie.

Dwoje małych dzieci zajrzało ostrożnie przez uchylone drzwi. – Jesteście wreszcie – powitała je z uśmiechem Sylvie. – Maurice, Pamelu, chodźcie i przywitajcie się z waszą nową siostrzyczką.

Dzieci z rezerwą zbliżyły się do kołyski, jakby nie wiedziały, czego się właściwie spodziewać. Sylvie pamiętała, że sama czuła się podobnie, gdy patrzyła na ciało swego ojca, leżące w ozdobnej, dębowej trumnie z mosiężnymi okuciami (za którą łaskawie zapłacili koledzy ojca z Akademii Królewskiej). A może po prostu bały się pani Glover?

– Jeszcze jedna dziewczyna – stwierdził ponuro Maurice. Dwa lata starszy od Pameli, pięciolatek był podczas nieobecności Hugh jedynym mężczyzną

w gospodarstwie. – Interesy – tłumaczyła ludziom Sylvie, chociaż prawda była taka, że Hugh w pośpiechu przeprowił się przez kanał La Manche, aby wyrwać swoją głupiutką najmłodszą siostrę z łap żonatego mężczyzny, z którym ta uciekła do Paryża.

Maurice dźgnął palcem twarzyczkę dziecka, na co mała przebudziła się i zaskrzeczała przestraszona. Pani Glover chwyciła chłopca za ucho. Sylvie aż się wzdrygnęła na ten widok, ale Maurice przyjął ból ze stoickim spokojem. Sylvie pomyślała, że jak tylko nabierze sił, będzie musiała koniecznie zamienić słówko z panią Glover.

– Jak jej dacie na imię? – spytała gosposia.

– Ursula – odparła Sylvie. – Będzie się nazywała Ursula. To znaczy mała niedźwiedzica.

Pani Glover niezobowiązująco skinęła głową. Klasa średnia rządziła się własnymi prawami. Jej rosły syn dostał na chrzcie zwyczajne imię – George – po grecku: rolnik, oracz, przynajmniej tak twierdził ksiądz. I rzeczywiście George orał pola w pobliskim gospodarstwie należącym do posiadłości Ettringham Hall, jakby o jego losie zdecydowało nadane mu imię. Nie żeby pani Glover miała czas zawracać sobie głowę takimi rzeczami jak przeznaczenie czy starożytni Grecy, jeśli o to chodzi.

– No, pora wracać do roboty – oznajmiła. – Na obiad będzie pyszna mięsna zapiekanka. A na deser egipski pudding.

Sylvie nie miała pojęcia, co by to mogło być. Wyobraziła sobie piramidy.

– Wszyscy musimy się trochę wzmocnić – dodała pani Glover.

– Tak, rzeczywiście – przyznała Sylvie. – Dlatego też powinnam chyba jeszcze raz nakarmić Ursulę! – Zirytował ją zawarty w tym zdaniu wykrzyknik. Z niejasnych dla siebie powodów w rozmowach z panią Glover często czuła się zmuszona do przybierania przesadnie radosnego tonu,

zupelnie jakby usilowala w ten sposob przywrócic jakas naturalna rownowage nastrojow w przyrodzie.

Pani Glover wyraźnie wzdrygnęła się na widok piersi Sylvie, bladych i pokrytych siateczką błękitnych żył, które wylewały się przez poły delikatnego, koronkowego peniuaru. Zaraz też przegoniła dzieci, wypychając je przed sobą z pokoju. – Dostaniecie owsiankę – zapowiedziała im ponuro.

*

– Panu Bogu musiało bardzo zależeć, żeby ta mała przeżyła – zauważyła Bridget, gdy zjawiała się u Sylvie później tego samego ranka z filiżanką gorącego rosółu wołowego.

– Zostałyśmy poddane próbie – odparła Sylvie – i Pan nas nie zawiódł.

– Tym razem – mruknęła Bridget.

Maj 1910

– Telegram – oznajmił Hugh, wchodząc nieoczekiwanie do pokoju dziecięcego i wyrywając Sylvie z przyjemnej drzemki, w którą zapadła podczas karmienia Ursuli. Okryła się prędko i zapytała: – Telegram? Czyżby ktoś umarł? – ponieważ mina Hugh zwiastowała katastrofę.

– Z Wiesbaden.

– Ach – uspokoiła się Sylvie. – Czyli Izzie już urodziła.

– Gdyby tylko ten łajdak nie był żonaty – warknął Hugh. – Mógłby wtedy uczynić z mojej siostry uczciwą kobietę.

– Uczciwą kobietę? – powtórzyła Sylvie z zadumą. – Czy to w ogóle możliwe? (Chyba nie powiedziała tego na głos?). – Poza tym ona i tak jest jeszcze za *młoda* na małżeństwo.

Hugh zmarszczył brwi, dzięki czemu jeszcze bardziej wyprzystojniał. – Jest tylko dwa lata młodsza od ciebie, kiedy za mnie wychodziłaś – zauważył.

– A zarazem o ile dojrzalsza – mruknęła Sylvie. – Wszystko u niej dobrze? Dziecko zdrowe?

Okazało się, że Izzie była już gruba, wyraźnie *enceinte*, gdy Hugh odnalazł ją w Paryżu i siłą wsadził do pociągu. Ich matka Adelaide oświadczyła, iż wolałaby, aby Izzie została uprowadzona przez złoczyńców handlujących białymi niewolnicami, zamiast rzucać się z takim entuzjazmem w objęcia rozpusty. Sylvie pomysł handlu białymi niewolnicami

wydał się całkiem atrakcyjny; wyobraziła sobie, jak uwozi ją na wierzchowcu czystej krwi arabskiej jakiś pustynny szejk, a potem ujrzała siebie leżącą na wymoszczonej poduszkami otomanie, spowitą w jedwabie i zasłony, zjadającą słodczyce i sorbety przy wtórze szemrzących fontann i strumyczków. (Podejrzewała, że rzeczywistość wygląda jednak trochę inaczej). Mimo wszystko idea haremu wybitnie jej odpowiadała – wspólne dźwiganie brzemienia obowiązków małżeńskich i tak dalej.

Adelaide, bohatersko hołdująca zasadom wiktoriańskiej obyczajowości, na widok rosnącego brzucha swojej najmłodszej córki dosłownie zatrzasnęła jej przed nosem drzwi rodzinnego domu i odesłała z powrotem na drugą stronę Kanału, aby przeczekała skandal za granicami kraju. Noworodek miał być czym prędzej oddany do adopcji. – Najlepiej jakiemuś szanowanemu niemieckiemu małżeństwu, niemożącemu mieć własnych dzieci – orzekła Adelaide. Sylvie usiłowała wyobrazić sobie, jak to jest oddać własne dziecko. („To już nigdy go nie zobaczymy?” – dziwiła się. „Mam taką nadzieję” – odparła Adelaide). Izzie natomiast miała trafić do prywatnej szwajcarskiej szkoły, przygotowującej dziewczęta do życia w wielkim świecie, choć zdaniem Sylvie wydawała się już do tego wszechstronnie przygotowana.

– To chłopak – oznajmił Hugh, machając telegramem niczym flagą. – Zdrowszy jak ryba i tak dalej.

Minęła pierwsza w życiu Ursuli wiosna. Leżąc w swoim wózek pod rozłożystym bukiem, śledziła refleksy światła wśród delikatnych zielonych liści, kołysanych delikatnym powiewem. Gałęzie przypominały jej ramiona, a liście były jak dłonie. Drzewo tańczyło dla niej. – *Wiatr chciał zgasić pierwszą gwiazdkę* – nuciła jej Sylvie – *na wieczornym niebie...*

– *Na wysokiej górze rosło drzewo duże* – podśpiewywała, sepleniac, Pamela – *a zwało się ono Aplipapliblikeblau.*

Pod budką wózka dyndał podwieszony zajaczek; kręcił się jak fryga, a słońce odbijało się od srebrzystego futerka. Zajaczek siedział wyprostowany jak struna w koszyczku, który zdobił niegdyś grzechotkę małej Sylvie – grzechotkę, po której, tak jak po dzieciństwie Sylvie, dawno zaginął wszelki ślad.

Nagie gałęzie, pąki, liście – cały znany jej dotąd świat zmieniał się i przemijał. Pierwszy raz widziała następujące po sobie pory roku. Urodziła się, czując w kościach chłód zimy, zaraz jednak zawitała rześka wiosna, pełna obietnic ukrytych w pęczniejących pąkach, potem przyszło leniwe, upalne lato, a wreszcie nastąpiła jesień pachnąca pleśnią i grzybami. Ursula obserwowała to wszystko spod uchylonej budki swojego wózka, nie mówiąc o podziwianiu dodatkowych atrakcji, jakie niosły ze sobą kolejne pory roku: słońca, chmur, ptaków, zabłąkanej piłki do krykieta, która przecięła cicho niebo wysoko ponad jej głową, jednej czy dwóch tęczy oraz deszczu w ilościach większych, niżby sobie tego życzyła (zdarzało się, że ratowano ją przed żywiołami z niejakim opóźnieniem).

Raz widziała nawet gwiazdy i wschodzący księżyc – równie zdumiewający, co przerażający – gdy pewnego jesiennego wieczoru zwyczajnie o niej zapomniano. Bridget porządnie się za to oberwało. Wózek wystawiany był na zewnątrz bez względu na pogodę, ponieważ Sylvie odziedziczyła obsesję na punkcie świeżego powietrza po swojej matce Lottie, która za młodu spędziła trochę czasu w szwajcarskim sanatorium, gdzie całymi dniami przesiadywała zawinięta w koc na tarasie, wpatrując się obojętnie w ośnieżone alpejskie szczyty.

W końcu buk zaczął gubić liście, a niebo nad głową Ursuli wypełniły małe, szeleszczące, brązowe szybowce. Pewnego szczególnie wietrznego listopadowego dnia obok jej wózka wyrosła jakaś straszna postać i zajrzała do środka. Maurice zaczął stroić do niej miny, nawołując: – Hu, hu,

hu! – a potem dźgnął patykiem jej kocyk. – Głupi dzieciak – orzekł, po czym przystąpił do przysypywania jej garściami miękkich liści. Już miała usnąć pod tą nową, lekką pierzynką, gdy nagle jakaś dłoń zdzieliła Maurice’a po głowie, ten zaś krzyknął: – Au! – i zaraz gdzieś przepadł. Srebrzysty zajęczek kręcił piruety jak szalony, a tymczasem czyjeś wielkie ręce wyjęły ją z wózka i Hugh powiedział: – Tutaj jest nasza mała! – jakby gdzieś im się zagubiła.

– Wyglądała całkiem jak jeź, który zapadł w zimowy sen – dodał, zwracając się do Sylvie.

– Biedactwo – zaśmiała się jego żona.

Znów nadeszła zima. Ursula od razu ją rozpoznała.

Czerwiec 1914

Ursula bez większych przygód dobiła do swoich piątych urodzin. Matka odczuwała ulgę na myśl, że pomimo trudnych początków (a może właśnie dzięki nim) i dzięki jej zdrowym zasadom wychowawczym (a może na przekór im) córeczka najwyraźniej wyrasta na całkiem zrównoważone dziecko. Ursula nie rozmyślała za wiele, jak to czasami zdarzało się Pameli, nie była też aż tak bezmyślna jak Maurice.

Mój mały żołnierzyk, myślała Sylvie, patrząc, jak Ursula maszeruje po plaży za swoim starszym rodzeństwem. Wydawali jej się tacy mali! I oczywiście *byli* mali, dobrze o tym wiedziała, czasem jednak zdumiewała ją siła uczuć, jakie w niej budzili. Najmniejsze i najmłodsze z jej dzieci – Edward – nie opuszczało na razie wiklinowego koszyka ustawionego obok na piasku i na szczęście nie nauczyło się jeszcze ryczeć wniebogłosy.

Dom w Kornwalii wynajęli na miesiąc. Hugh spędził z rodziną pierwszy tydzień, Bridget – całe wakacje. Wspólnie z Sylvie podzieliły się obowiązkami kuchennymi (z marnym skutkiem), ponieważ Sylvie dała pani Glover miesiąc wolnego, aby ta mogła odwiedzić w Salford jedną ze swych siostr, której syn zmarł niedawno na dyfteryt. Stojąca na peronie Sylvie wydała z siebie westchnienie ulgi, widząc szerokie plecy pani Glover znikające wewnątrz wagonu. – Nie musiałaś jej odprowadzać na pociąg – zauważył Hugh.

– Z przyjemnością popatrzyłam sobie, jak odjeżdża – przyznała Sylvie.

Słońce prażyło, od morza wiał silny wiatr, a niczym nieniepokojona Sylvie przesyiała całe noce w twardym, obcym łóżku. Kupowały paszteciki z mięsem, smażone ziemniaki oraz francuskie rożki z jabłkami i zjadały je, siedząc na rozłożonym na piasku kocu, z plecami wspartymi o skały. Wynajęcie kabiny plażowej rozwiązało zawsze krępującą kwestię karmienia niemowlęcia w miejscu publicznym. Czasami Bridget i Sylvie zdejmowały trzewiki i odważnie zanurzały w wodzie palce u nóg; kiedy indziej siedziały na plaży w cieniu olbrzymich parasoli, pogrążone w lekturze. Sylvie czytała Conrada, Bridget zaś pożyczony od Sylvie egzemplarz *Dziwnych losów Jane Eyre*, sama nie wpadła bowiem na pomysł, aby zabrać z domu jeden z ulubionych i mroźnych krew w żyłach gotyckich romansów. Bridget okazała się wdzięczną czytelniczką: a to wzdychała z przerażeniem, a to wstrząsała się ze wstrętem, by na koniec cieszyć się jak dziecko. W porównaniu z jej emocjonującą lekturą *Tajny agent* Conrada wypadał co najmniej blado.

Bridget była też zdecydowanie lądowym stworzeniem i ciągle przejmowała się pogodą, czy nastąpi przypyływ, czy odpływ, najwyraźniej nie mogąc pojąć ich przewidywalnego rytmu. – Każdego dnia jest trochę inaczej – tłumaczyła jej cierpliwie Sylvie.

– Ale dlaczego, na Boga? – pytała skołowana Bridget.

– No cóż... – Sylvie nie miała bladego pojęcia. – A dlaczego by nie? – zakończyła lakonicznie.

Dzieci wracały po całym dniu łowienia ryb w zagłębieniach skalnych na drugim końcu plaży. Pamela i Ursula przystanąły w pół drogi i zaczęły się pluskać przy brzegu, a Maurice tymczasem przyspieszył i ruszył biegiem w stronę Sylvie, by

zaryć tuż przed nią, wzniecając przy tym fontanny piachu. Trzymał za szczypcę małego kraba, na którego widok Bridget aż zapiszczała z przerażenia.

– Zostały jakieś paszteciki? – zapytał.

– Gdzie twoje maniery, Maurice? – skarciła go Sylvie. Po wakacjach chłopiec wyjeżdżał do szkoły z internatem. Matka przyjmowała to z ulgą.

– Chodź, poskaczemy sobie przez fale – powiedziała Pamela. Bywała apodyktyczna, ale w sympatyczny sposób, i Ursula niemal zawsze pozwalała jej sobą dyrygować, nawet jeśli nie miała na to ochoty.

Obok nich po piasku przetoczyła się popychana wiatrem metalowa obręcz; Ursula chciała za nią pobiec i zwrócić ją właścicielowi, ale Pamela powstrzymała ją, mówiąc: – Zostaw, chodźmy pobrodzić – odłożyły więc swoje torby na piasek i zanurzyły stopy w morskiej pianie. Bez względu na to, jak były rozgrzane słońcem, woda zawsze wydawała się lodowata. Piszczwały więc i pokrzykiwały, a potem chwyciły się za ręce i czekały na fale. Gdy te wreszcie się pojawiły, okazały się zaskakująco małe, niewiele większe od zmarszczek na wodzie, przyozdobionych białą koronką piany. Dziewczynki weszły głębiej w morze.

Tam jednak wcale nie było fal, tylko wzbierające i cofające się prądy wodne lekko je unosiły. Za każdym razem czując napierający prąd, Ursula z całej siły ścisnęła dłoń Pameli. Woda sięgała jej już do pasa. Pamela niczym galion na dziobie statku brnęła dalej naprzeciw nacierającym falom. Woda sięgała teraz Ursuli po pachy, zaczęła więc płakać i ciągnąć siostrę za rękę, usiłując nakłonić ją do powrotu. Pamela obejrzała się i powiedziała: – Uważaj, bo obie się przewrócimy – w związku z czym nie zauważyła wznoszącego się ponad nią grzbietu potężnej fali. Fala ta zalała w okamgnieniu obie dziewczynki, porywając je z taką łatwością, jakby były liśćmi.

Ursula czuła, że prąd wciąga ją pod wodę, coraz głębiej i głębiej, zupełnie jakby znajdowała się na pełnym morzu, a nie zaledwie parę metrów od brzegu. Rozpaczliwie przebierała nóżkami, usiłując znaleźć dla nich jakieś oparcie. Gdyby tylko mogła stanąć i stawić opór falom, ale niestety nigdzie nie wyczuwała dna. Zaczęła dławić się wodą i miotać w narastającej panice. Na pewno ktoś zaraz nadbiegnie – Bridget albo Sylvie – i ją uratuje. Albo Pamela; co się z nią dzieło?

Ale nikt się nie zjawił. Wokół niej była tylko woda. Woda, coraz więcej wody. Jej bezradne maleńkie serce było jak szalone niczym uwięziony w piersi ptak. Pofałdowane, perłowe uszko wypełniło się brzęczeniem tysiąca pszczół. Brak oddechu. Tonąca dziewczynka, spadający ptak.

Zapadła ciemność.